

To w pełni dojrzały thriller najlepszego gatunku!
- Max Czornyj

ZMOROWISKO



KAMIL
PIECHURA

FILIA

KAMIL
PIECHURA

ZMOROWISKO

FILIA

Dla Ciebie

Kto walczy z potworami, ten niechaj
baczy, by sam przytem nie stał się po-
tworem.

Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń,
spogląda bezdeń także w ciebie.

FRIEDRICH NIETZSCHE

DCLXVII

Dziennik Edwina Tellera, Wigilia 1998

Narodziny są początkiem końca. Objawiona, dobrze znana wszystkim istotom myślącym prawda, która skryta pod kocem codzienności, rutyny, problemów i zmartwień pozostaje uśpiona dopóty, dopóki ta ciągła linia, jaką jest cholerna egzystencja, nie ulega załamaniu. Degradacji.

Nie. Mogę napisać to inaczej.

Prościej.

Światło lampki drga, żółć rozlewa się po blacie biurka. Pełźnie po obrusie dzierganym z wyrwanych kartek, ślizga się po drobinkach zalegającego popiołu.

Sięgam po papierosa, przypalam, przesuwam w kącik ust. Kładę dłonie na klawiszach. Po chwili metaliczny dźwięk przesuwającego się wałka wypełnia pokój.

Dzień narodzin jest zaczątkiem umierania. Powolnej zamiany każdej komórki odpowiadającej za życie w proch. To, że człowiek stoi u szczytu łańcucha pokarmowego, w żaden sposób nie powstrzymuje tej lubieżnej istoty, windykatora upominającego się o swoje – śmierci. Jedną z nie-licznych części wspólnych, uniwersalną prawdą jawnie dzieloną między nami a najdrobniejszymi ssakami na Ziemi, jest to, że umrzemy.

Wcześniej czy później.

W cierpieniu lub pokoju.

Co pewne – w samotności.

To zaskakujące, jak ubieranie najprostszych praw rządzących światem we wzniośle brzmiące frazesy nadaje im filozoficzny wydźwięk. Bo przecież każdy wie, że kiedyś umrze. Każdy wie – bardziej lub mniej świadomie – że wskazówka przesuwająca się po tarczy

zbliża go do ostateczności, do pożegnania się z tym, co znane, do powitania wielkiej niewiadomej. Każdy wie – znów bardziej lub mniej świadomie – że nieważne, ile pieniędzy zebrał, nieważne, czy pozostawił po sobie spuściznę, czy lawinę długów, nieważne, jak dobry czy zły był dla innych – i tak na końcu swej drogi dozna niepewności.

Strachu.

Horroru umierania.

Kropka.

Powoli odsuwam się na krześle. Prostuję plecy. Resztki koniaku, który otworzyłem po Wigilii, błyszczy zachęcająco na dnie szklanki. Wlewam jej zawartość do gardła, sięgam po papierosa dopalającego się na popielniczce.

Jest cicho. Spokojnie. Dopiero gdy wyteżam słuch, dochodzą mnie odgłosy z dołu. Stłumione kroki, niewyraźne rozmowy mojej rodziny. I pomruk wiatru – huczy za okrągłym oknem, porywa płatki śniegu do niefrasobliwego tańca i przykleja je do szyby. Maluje na niej witraż, który w świetle sączącym się z lampki przygrymuje najróżniejsze odcienie brudnej żółci.

Witraż Cichej Nocy. W moim gabinecie, na moim okrągłym oknie.

W domu, który choć na moment, choć na jedną chwilę – wydaje się taki jak dom każdej rodziny.

Przytulny i towarzyski.

Gapię się w okno, spoglądam w odbicie swojej ściągniętej twarzy. Gaszę niedopałek w przepelnionej popielniczce, kciukiem głaszczę spisane dziś stronicie powieści. To był dobry dzień na pisanie, niezależnie od tego, jak duży wkład w pracę miał koniak.

Sięgam po stos i wyciągam kartkę na chybił trafił. Pisząc, czasami wracam do tego, co za mną – nie musi to być konkretny fragment czy rozdział – po prostu próbka, by ocenić warsztat.

Odwracam stronę. Spoglądam.

Zamieram.

Jest pusta.

Przez chwilę nie ruszam się z miejsca. A potem sięgam po kolejną.

Pusta.

Kolejną.

Pusta.

Tak samo następna.

Żółć czystego papieru wydaje się zbyt intensywna, mieni się szydzącym blaskiem, gdy skupiam wzrok na jednym jej punkcie.

Odsuwam krzesło za szybko, prawie przewracam się na podłogę. Z dolnej szuflady biurka wyciągam napoczętą butelkę wódki i leję do szklanki, rozchlapując zawartość. Płyn spływa na papier, wypłukuje go z tej cholernej żółci, ale już o to nie dbam. Piję haustami.

Owiewa mnie ziąb. Wichura za oknem wygrywa jękliwy koncert. Gdy dołącza do niej pomruk domu, tego, co żyje pod nim, gaszę światło.

Siedzę w ciemności.

Jest późno. Przesuwam powrotnik maszyny – przenikliwy dźwięk rozchodzi się po pokoju. Wybrzmiewa, niby echo instrumentu, który spóźnił się o pół taktu za dyrygentem.

Trwa, a gdy wreszcie ustaje, dom rozdziera wrzask.

Umiera wraz z cierpieniem rozlewającym się z tyłu czaszki.

Mrok zatarł zarys postaci wyrastającej zza moich pleców.

Budzi mnie hałas.

Terror. Płacz. Paniczne piski. Rozjuszony krzyk.

Tracąc przytomność, wyrzniętem policzkiem o maszynę do pisania. Spoglądam w odbicie w oknie, niemal już całkowicie schowanym pod kołdrą mokrego śniegu. Metal wyrzeźbił koślawy szlaczek na skórze pod okiem. Ironiczny tatuaż.

Podnoszę się, przecieram powieki. Podłoga faluje mi pod stopami. Dotykam potylicy, a gdy podsuwam palce pod nos, dostrzegam krew. Próbuję wydobyć z siebie głos, krtań jednak zaciska się, nie pozwala mi na szept, jedynie na żałosne charknięcie...

Ktoś jest na schodach. Skrada się. Odwracam się, potykam i ten ktoś zaczyna biec, a wtedy to ciche zawrozczenie przeradza się w jęk, ten ktoś przesuwa się szybciej, żwawiej, teraz biegnie, cień opada na mnie jak kurtyna, a wtedy...

Ciepło. Wulkan gorąca rozlewa się na mojej piersi. Spoglądam w dół – na rękojeść noża wystającą spod obojczyka. Żołądek buntuje się, podchodzi mi do gardła. Słyszę skowyt, tak, skowyt, który przechodzi we wrzask, to *ja* wrzeszczę, a na dole ktoś wykrzykuje moje imię...

Ale ja widzę tylko purpurową płamę rozlewającą się po koszuli, czuję chłód metalu przewiercający się przez mięso, chłonnącego ciepłość krwi przelewającej się z nacięcia...

Postać wydziergana z cienia zaciska dłoń na moim karku. Bronię się, rozpaczliwie wbijam paznokcie w klawisze maszyny do pisania, opór jednak jest zbyt silny – żelastwo z łoskotem spada z biurka, a za nim popielniczka i strony maszynopisu. Sufit poddasza kołysze się niby rozbujana przez szalone morze łódź, drobinki popiołu tańczą, to śnieg, płatki śniegu spadające na moją twarz...

Szeptcę, wrywam się, błagam, ale cień ciągnie mnie po schodach, moja głowa uderza o każdy stopień, a krew rozlewa się za koszulę, pozostawiając po sobie ślad.

Są w kuchni. Magdalena i córka drżą, tulą się do siebie. Na mój widok mała wybucha płaczem, dygocze. Magdalena krzyczy, a wtedy cień podchodzi do niej i wymierza jej policzek. Krople krwi z rozciętej skóry zataczają łuk, lądują na białym wigilijnym obrusie. Szukam wzrokiem chłopaka, mojego syna, w nim bowiem jest ostatnia nadzieja, zbawienie dla nas wszystkich. Dostrzegam jakiś ruch w korytarzu, tak, to on, szczupła, wysoka sylwetka w mroku, przystaje i prostuje się, zamiera...

Widzę, jak zza niego wyrasta cień...

A potem wraca, zaciska dłonie na mojej koszuli, rozrywa ją mocnym ruchem, trącając przy tym rękojeść noża, przez co ostrze przesuwają się w środku mojego ciała, wzmagając cierpienie, sprawiając, że świat blednie i traci ostrość konturów...

Potem pozbawia mnie spodni i bielizny.

Wrzaski żony i córki zlewają się w jeden przenikliwy pisk. Przed oczami przez chwilę dynda mi końcówka sznura, zanim czuję pętlę na szyi. Cień kopniakiem otwiera drzwi, wyciąga mnie w grudniową noc, pod górę, prosto do czarnego lasu.

Szamoczę się. Próbuję poluzować węzeł, ale już jesteśmy pomiędzy drzewami.

Dom został za mną. Kryształ śniegu ocierają się o nagie ciało, rozpalają skórę jak gorący węgiel. Drzę. Charczę, gdy cień pociąga za sznur mocniej.

Zabiera mnie w pierwszą linię drzew, bramę do gęstego, nieprzejednanego lasu góry.

A dom...

Majaczy w ciemności, obojętny na horror tego, co właśnie się dzieje. Światło sączące się z okrągłego okna gabinetu na poddaszu jest jedynym jasnym punktem w mroku nocy.

Cień przystaje. Zarzuca koniec sznura na gałąź.

Ciągnie.

Świat zamiera. A potem kręci się dookoła, by w końcu zniknąć.

Na moment odzyskuję przytomność. Nie wiem, kto rządzi tym dobytkiem – Bóg, szatan, a może szyderczy, bezimienny los. Ale to jeden z nich przed śmiercią raczy mnie towarzystwem żony i córki.

Są nagie. Wiszą po mojej prawej i lewej, szamoczą się, łapczywie walczą o oddech.

Dzień narodzin jest zaczątkiem umierania.

To tylko część prawdy.

Prawdy, która jest grozą, która żyje na tej górze.

Jasny przebłysk świadomości przed śmiercią doprowadza mnie do rozwiązania. Tytuł powieści, tak maniakalnie, desperacko wręcz poszukiwany, przychodzi nagle jak promień porannego słońca.

Wrony zrywają się z drzew z narastającym śpiewem.

Wrzaskiem.

Płaczem.

A może to chór aniołów przybył w dzień ostateczny?

W dzień gniewu, w dzień sądu.

Dies Irae, Dies Illa.

27 lat później

Niespełna czterdziestometrowe mieszkanie przy ulicy Reduta wypełniała dynamiczna muzyka z płyty *Toxicity* zespołu System of a Down – przez jednych uważana za bezsensowny jazgot, przez drugich zaś za objawienie i Święty Graal w gatunku hard rocka oraz metalu alternatywnego. Lidia Ewert należała do tej drugiej grupy. Zaliczała właśnie trzeci kilometr na magnetycznym wioślarzu, zakupionym w zeszłym miesiącu. Strużki potu wyrzeźbiły na jej ciele wąskie koryta, wijące i krzyżujące się wraz z kolejnymi płynnymi odchyleniami.

Wioślarz pozwalał wyczyścić głowę. Chodziła na osiedlową siłownię, a mimo to wołała sprzęt w domowym zaciszu – choćby dlatego, że kawałek żelastwa był jej i tylko jej, co pozwalało unikać przeciągłych spojrzeń nabrzmiałych byczków na dolne partie jej ciała albo irytującego klepania w ramię i pytań: „Ile serii ci jeszcze zostało?”, podczas gdy nie zdążyła nawet ułożyć się na siedzisku. Niewątpliwym plusem wioślarza, a także głównym powodem, dla którego nie zdecydowała się na bieżnię czy atlas, była jego kompaktowość – po zakończonym treningu składała go i wsuwała za regał na książki, gdzie od czasu do czasu pełnił także rolę improwizowanego wieszaka na średnio świeże ciuchy.

Posiadał tuzin programowanych trybów do pomiaru pokonanego dystansu czy trendu szybkości w wykonanych seriach. Zgoda, to głównie bajery, ale bajery, których jej poprzedni sprzęt nie miał. Zresztą był stosunkowo tanim, odpychająco plastikowym chińskim składakiem, sygnowanym logiem firmy krzak – linka zerwała się zaledwie po miesiącu, a ekran od początku podejrzenie wolno reagował na zmianę trybów wyliczeń pokonanego dystansu. Przypominał bardziej zabawkę aniżeli sprzęt do ćwiczeń z prawdziwego zdarzenia – na widok naoliwionego mięśniaka na opakowaniu, z plastikowym uśmiechem i wielkim napisem na kłacie „Wybierając tego wioślarza, wybierasz takie ciało”, od razu powinna zaświecić się ostrzegawcza lampka w jej głowie. No ale cóż, Lidia uczyła się na błędach i zutylizowała rzęcha, upychając go do pogiętego pudła, w którym przyszedł – nawet nie rozebrała go na części – i wspinałomyślnie pozostawiając pod blokiem, przy kontenerze na odpady budowlane. Naoliwiony mięśniak spoglądał za nią, gdy otwierała drzwi do klatki schodowej. Tęsknie, jakby w obawie, że popołudniowy deszcz może zmyć jego idealny uśmiech.

Teraz wyciągała kolejny kilometr na nowej maszynie – bardziej trwałej, zdecydowanie stabilniejszej i wartej swojej ceny, nawet jeśli ta stanowiła niemal połowę miesięcznej policyjnej pensji. Po prostu tego potrzebowała, szczególnie w takie dni jak ten, gdy budziła się o piątej rano i patrząc w sufit, bezskutecznie próbowała zasnąć. Nigdy nie potrzebowała budzika. Nawet jeśli nie zarywała nocy przez służbę, nie była w stanie zmusić organizmu do naturalnej rekonwalescencji, do przedłużenia fazy, w której nie mówi, nie chodzi, nie czuje. Nie działa.

Odepchnęła się mocno, gdy spokojne plumkanie gitary przechodziło w pełen werwy refren *ATWY*. Magnetyczne koło wioślarza, przyciągające linkę, wydobyło z siebie ledwo słyszalne stęknęcie.

Lidia nie mogła narzekać na brak wrażeń przez ostatni miesiąc. Przeciwnie – jako jedna z nielicznych po raz kolejny dołączyła do weteranów z dochodzeniówki i kryminalnych prowadzących głośne śledztwo sprzed dziewięciu lat.

Krakowskie Archiwum X wzięło głośną sprawę Poli Łęckiej.

Pewnej marcowej nocy dziewczyna wracała od chłopaka z Krakowa do Węgrzec. Marnej jakości nagranie z autobusu dowodziło, że owszem, wysiadła na swoim przystanku – wideo zdołało nawet uchwycić światła czerwonego leona przyczajonego kawałek dalej – tyle że zaraz potem zniknęła. Twarz zasłonięta szalikiem. Długie, rozwiewane przez podmuchy wiatru blond włosy. Czarna noc. I pięćdziesiąt metrów dalej samochód z zapalonym silnikiem, którego właściciel został wykluczony z kręgu podejrzanych już na samym początku. Zatrzymał się za potrzebą, nie zauważył nic, było ciemno, a on skarżył się na astygmatyzm, klekoczący wahacz w leonie i wadę minus czterech dioptrii.

Tyle.

Ekran wioślarza mignął, zmieniając tryb i informując Lidie, że wyciągnęła już ponad dziewięćset powtórzeń. Rozpoczynające *Aerials* intro – spokojne, cierpliwie narastające – przytłumiło szuranie linki od magnetycznego koła.

Briefingi w sprawie Łęckiej odbywały się co dwa dni. Co dwa dni w ciasnym pokoju na końcu korytarza na parterze, zwanym przez wszystkich minus pierwszym piętrem, komendy wojewódzkiej podkomisarz Ewert słuchała

najnowszych doniesień techników w sprawie badań daktyloskopijnych, odlewów śladów asfaltu i próbek błota z pobocza. Zagłębiała się w akta sprawy – po raz kolejny, w nadziei na odnalezienie luk, nieścisłości, a może przebłysku, który pozwoliłby na odkrycie czegoś nowego. Wykonywała polecenia – formalnie już po służbie – do późnego wieczoru ślęcząc nad zdjęciami i zeznaniami świadków, próbując odtworzyć plan wydarzeń: kroki podjęte przez Łęcką, gdy ta zniknęła z pola widzenia kamery. Następnie przeszła przez profile internetowe ofiary. I choć podzielała zdanie głównie starszego pokolenia, że portale społecznościowe to niechlubny wynalazek, który bardziej izoluje ludzi, niż ich łączy, to właśnie ten kawałek układanki okazał się kluczowy dla sprawy.

Ewert wykonywała swoją robotę sumiennie, metodycznie. I zgoda, dużą zasługę można było przypisać hektolitrom średnio smacznej lury z automatu na korytarzu, a także olejowi CBD, który odkryła już ładnych parę lat temu, a który dopiero ostatnimi czasy zyskiwał na popularności. Trzy krople pod język rano, w południe i wieczorem. Dodatkowa dawka, gdy myśli zaczynały się plątać po długich godzinach wpatrywania się w akta zapisane koślawym, często niezrozumiałym pismem. Choć wbrew nadziejom Lidii środek ten nie sprawił, że znów zaczęła sypiać po siedem, osiem godzin, nadal polegała na nim niemal każdego dnia.

Odetchnęła i sięgnęła po butelkę z wodą. Upiła trzy duże łyki, mrużąc oczy przed majowym słońcem wpadającym przez brudną od krakowskiego smogu szybę. Przełączyła playlistę z kolejnym zapisanym albumem. Na ekranie w panelu powiadomień mignął artykuł z popularnego portalu dziennikarskiego. Otarła twarz ręcznikiem i przeczytała.

Krzyczała, choć nikt nie słyszał. Kryminalni komentują głośną sprawę zaginięcia i zabójstwa Poli Łęckiej.

Pierwszy numer z *Hybrid Theory* Linkin Park zagrmiał z głośników, gdy zawiesiła palec nad kafelkiem i stuknęła.

Patrzyła na swoją twarz z nagrania, poruszając głową w takt perkusji. Niebieska tabelka z jej imieniem, nazwiskiem i pełnioną rolą zawisała na poziomie piersi. Dwóch zamaskowanych funkcjonariuszy Archiwum X stało za Lidią, spoglądając w bok.

Artykuł streszczał jej wypowiedź i przedstawiał ogólny zarys sprawy. Sekcję komentarzy wypełniały wpisy użytkowników, którzy czekali na omówienie historii przez podcasty kryminalne, zastanawiali się, dlaczego za policjantką stoją gangsterzy, i szydzili z efektywności służb oraz czasu potrzebnego na odnalezienie ciała Łęckiej.

Odłożyła smartfon na bok i pociągnęła za linkę, odpychając się mocno nogami.

Dziewięć lat temu – przez niedopatrzenie, a może pośpiech spowodowany naciskiem z góry, co w takich przypadkach jest chlebem powszednim – przeoczono małą grupę na zapomnianym przez młode pokolenie portalu *NaszaKlasa*. Łęcka nie była tam aktywną uczestniczką, tylko bohaterką obrzydliwych wpisów zamieszczanych przez znajomych ze studiów. Forum nosiło nazwę *Niedojebani z naszego roku:*), zrzeszało większą część studentów drugiego roku prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i pozwalało im wskazać osoby, które powinny zostać ukamienowane (na szczęście nie dosłownie) tylko dlatego, że krzywo popatrzyły w ich stronę. Jeden z użytkowników opisywał Polę jako cnotkę niewydymkę ze „skrzeczącym, doprowadzającym do jebła głosem”

W miasteczku położonym nieopodal Krakowa rozgrywa się prawdziwy horror – grupa studentów spędzających weekend majowy w wynajmowanym domu, zostaje skatowana i powieszona. Na miejsce przyjeżdża podkomisarz Lidia Ewert, o której metodach śledczych stało się głośno po doprowadzeniu do zamknięcia śledztwa sprzed lat. Choć policja szybko typuje sprawcę, pomimo gruntownej analizy oraz zakrojonych na cały kraj poszukiwań podejrzanego, sprawa potrójnego morderstwa tkwi w martwym punkcie.

Do czasu...

Maks i Beniamin to dwójka przyjaciół prowadzących kanał rozrywkowy poświęcony miejscom uważanym za nawiedzone. Ich celem jest odnalezienie odpowiedzi na pytanie: *Czy duchy istnieją naprawdę?* Kiedy mężczyźni decydują się zbadać historię Czarnego Domu, nie zdają sobie sprawy, jaką grozę odkryją w jego wnętrzu.

FILIA

Mroczna

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-144-6



9 788384 021446